

## Gra — Kazjuno

**Od autora:** To początek powieści, a może długiego opowiadania...

Jak często u mnie - piszę w pierwszej osobie.

No i jeszcze jeden detal. Kanwą tej opowieści są zaistniałe w przeszłości wydarzenia.

---

Kazimierz Junosza

## GRA

(Jak po tryumfie Moniki, sam zostałem celebrytą)

### **Rozdział 1 *Bokerska przyjaźń***

Nie raz się zastanawiałem, czy za oszustwo, jakiego się dopuściłem, wylądowałbym w więzieniu? Jak duży dostałbym wyrok? A może sprawa zostałaby zamieciona pod dywan?

W efekcie popełnionego przestępstwa stałem się rozpoznawalną osobą, darzoną szacunkiem przez ogromną większość obywateli Wałbrzycha i Szczawna-Zdroju. Pokazywano mnie palcem na ulicach, obcy ludzie zaczęli mi się grzecznie kłaniać. Nawet dostałem ozdobny list gratulacyjny ze stolicy. W tym czasie poczułem, co oznacza być celebrytą. Zznałem samopoczucia, mogącego towarzyszyć złotemu medalistce olimpijskiemu, znanemu aktorowi, może nawet laureatowi nagrody Nobla. Tu jednak chyba przesadzam...

Prawdę mówiąc, nie wszyscy patrzyli na mnie z aprobatą. Parę razy natknąłem się na spojrzenia kose, pełne nienawiści. Raz jadąc autobusem, usłyszałem rzuconą pod moim adresem uwagę.

– Zobacz, to ta komunistyczna k\*\*wa, co chce robić partyjną karierę – zwrócił się facet o wyglądzie robotnika do swojego kompana.

Udałem, że nie słyszę.

Przygoda, o której opowiem, miała prapoczątek w podstawówce, po czym przeniosła się do piwnicy willi rodziców. Poza mną, głównym jej bohaterem był o rok starszy Romek Waszkiewicz, jeden z najsilniejszych chłopaków w klasie, którego pasją był boks. Wprawdzie mnie i brata nie bił, ale spoglądał na nas z pobłażliwym, a zarazem ironicznym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: *gdybym któremuś z was przywalił, to połamałbym mu gnaty*. Po skończeniu podstawówki my także dostaliśmy fioła na tle pięściarstwa. Zaczęliśmy jeździć na treningi do bokserskiego klubu Handlowiec i w suterynie domu urządziliśmy salkę treningową. Pierwszym sukcesem, którego się nie spodziewałem, było zwycięstwo nad Jarkiem Menowskim, starszym koledze, który później dopuszczał się bandyckich napadów, a także zabił pięścią człowieka. Wreszcie wyładował w kryminale z wieloletnim wyrokiem. Ów kolega, na oczach całej klasy, stoczył z Romkiem Waszkiewiczem pojedynek na gołe pięści. To była masakra. Na widok pryskającej po uderzeniach krwi i pomazanych nią twarzy przeciwników zemdłała jedna z klasowych koleżanek. Od czasu dramatycznego pojedynku dało się zauważyć, że Waszkiewicza połączyła z Menowskim więź wzajemnego szacunku i chyba sympatii.

Tak, bez wątpienia wielką satysfakcją stała się dla mnie pierwsza konfrontacja w rękawicach z przyszłym kryminalistą. Po kilkunastu sekundach trafiłem Menowskiego w nos, zmuszając go do poddania się. On był chłopakiem bardzo utalentowanym sportowo i po porażce ze mną także wziął się za trenowanie boks. Wystarczyło mu kilkanaście miesięcy, żeby wyrobić sobie nokautującą siłę ciosu. Za rozbicie mu nosa dokonał srogiego odwetu. W rewanżowym pojedynku zasypał mnie gradem ciężkich uderzeń, po których zaszumiało mi w głowie i na oczach kolegów przegrałem przed czasem, przez techniczny nokaut.

Niedługo potem Jarek przyprowadził do naszej piwnicy Romka Waszkiewicza.

– Romek chciałby zmierzyć się z tobą w rękawicach, chyba mu nie odmówisz – złożył zaskakującą propozycję.

Po błąkającym się na twarzy Jarka uśmiechu, od razu wyczułem, że przygotowali jakąś chytrą taktykę. Mimo ogarniającego mnie lęku nie wypadało odmówić, Waszkiewicz nie trenował wprawdzie boks, był jednak ode mnie o jakieś dwadzieścia kilogramów cięższy i trochę wyższy. Nie miałem wątpliwości, że będzie trudnym przeciwnikiem. Nie pomyliłem się. Chwilę po założeniu rękawic rzucił się na mnie z impetem, waląc serią ciosów. Zasłoniłem się podwójną gardą, lecz jego ciosy rozbijały moją zasłonę. Gdy tylko próbowałem kontrować, otrzymywałem kolejne bomby. Błyskało mi w

głowie, mdlały kolana. Nie pamiętam, jak długo trwał huragan spadających na mnie uderzeń. Walczyłem, by utrzymać się na nogach. Staralem się przykleić do przeciwnika, z całych sił próbowałem skrócić dystans, złapać jego grzmocące mnie ramiona doprowadzając do klinczu. Nieoczekiwanie Waszkiewicz przestał bić. Cofnął się parę kroków i ciężko sapiąc, wciągał powietrze. Zbierał siły do ataku mającego ostatecznie mnie zdemolować. Nie wiem, skąd wydobyłem resztkę energii. Zadałem parę ciosów prostych. Wszystkie mierzyłem w brodę, trafiałem jak w treningową gruszkę. Teraz ja odrzuciłem go pod ścianę.

– Nie mam już siły – dotarły do mnie słowa spoconego Romka.

Zaczął zdejmować rękawice.

Byłem pewien: taktykę walki ze mną podpowiedział mu Menowski. Myślał logicznie, byłem od Waszkiewicza lżejszy. Namówił Romka, żeby parł do przodu, walił jak młocarnia, rozciągnął mnie na piwnicznej podłodze, rozgniatając niczym walec. Plan się nie powiódł, przeciwnik nie miał za sobą treningu i zabrakło mu kondycji.

\* \* \*

Parę lat później boks skomplikował mi życie. Rozczarowany mną był ojciec. Chciał, żebym został inżynierem, lecz mnie i brata bardziej interesowało uprawianie pięściarstwa. Miałem parę wlotów formy, ale kariery pięściarskiej nie zrobiłem. Zmieniałem kierunki studiów, przerywałem naukę na urlopy dziekańskie, a przerwy w nauce próbowałem wykorzystać, żeby osiągnąć coś w boksie.

Nie będę tu obszernie wspominał o życiowych zawirowaniach, które nie raz mogły się skończyć wyrokiem skazującym na więzienie. Niestety, przeważnie były związane z pięściarskimi występami poza ringiem. W efekcie zostałem czarną owcą w rodzinie, powszechnie uważanej za uczciwą i przyzwoitą.

Od czasu piwnicznej walki z Waszkiewiczem upłynęło kilka lat. Zniknął ze Szczawna-Zdroju i Wałbrzycha. Dowiedziałem się, że studiuje na Uniwersytecie Warszawskim. Nie było w tym nic dziwnego, mimo bokserskich zainteresowań był bardzo dobrym uczniem.

Po paru latach ujrzałem go w telewizji. Chyba musiałem wytrzeszczać z niedowierza-

niem gały. Potrząsnąłem głową, chcąc się upewnić, że mi się to nie śni. Siedział na Sali Kongresowej Pałacu Kultury na najwyżej umieszczonym rzeźbionym fotelu podobnym do królewskiego tronu. Poniżej Romka siedzieli dwaj najczęściej oglądani i najważniejsi partyjni przywódcy w PRL-u: Gierek i Jaroszewicz. Dopiero w niższym rzędzie, podwyższonej na scenie trybuny, przystrojonej czerwonymi i biało-czerwonymi flagami siedzieli przedstawiciele Biura Politycznego PZPR. (Ma się rozumieć, koloru flag mogłem się jedynie domyślać – mieliśmy wtedy czarno-biały telewizor). Cała sala nabita była tłumem partyjniaków, wszyscy byli w garniturach, białych koszulach i krawatach. Odbywał się, któryś z walnych zjazdów partii.

– Mamo! Tato! Zobaczcie! – krzyknąłem na rodziców dojadających w jadalni obiad. – Coś niewiarygodnego! Chodźcie zobaczyć! Waszkiewicz siedzi na honorowym miejscu! Wygląda, na ważniejszego od Gierka i Jaroszewicza.

Okazało się, że powierzono mu rolę moderatora zjazdu. To on pierwszy zabrał głos jako przewodniczący międzyuczelnianej organizacji Związku Młodzieży Socjalistycznej. Co muszę przyznać, w dobrze skrojonym garniturze, opinającym jego pokaźną sylwetkę, prezentowała się imponująco. Słuchając jego wstępnego przemówienia, które czytał tubalnym głosem z karteczki, poczułem niesmak. Wypowiadał typowe partyjniackie slogany o zaangażowaniu ideowym studenckiej młodzieży i jej gotowości realizowania socjalistycznych prerogatyw dla budowania podwalin komunistycznej przyszłości.

– No, to wasz kolega dochrapie się najwyższych zaszczytów – bąknął na odczepkę ojciec.

Udał się do sypialni, skąd po chwili rozległo się bulgotanie stacji zagłuszających audycję Radia Wolna Europa<sup>1</sup>.

Ogarnęły mnie mieszane uczucia. Z jednej strony na swój sposób podziwiałem Romka. Co tu nie gadać, dochrapał się znaczącego stanowiska. Nawet byłem w pewien sposób z niego dumny. Wspomnienie zacieklego pojedynku zbliżyło nas do siebie. Po walce zachował się elegancko, podał mi rękę i pochwalił za poczynione postępy w boksie. Z drugiej jednak strony wstąpił do środowiska nie lubianych przeze mnie ludzi. Komuniści mnie mierzili. Nie potrafiłem, nie dostrzegać ich zakłamania, udawanej miłości do Związku Radzieckiego. Szkalowali systemy polityczne krajów kapitalistycznych. W szkole, w zakładach pracy i mediach kłamano o wyższości systemu socjalistycznego nad kapitalistycznym.

Tymczasem jako cinkciarz zazdrościłem zaczepianym turystom zza żelaznej kurtyny. Od razu ich rozpoznawałem na ulicach, różnili się od poszarzałego tłumu rodaków. Byli lepiej ubrani, tryskali pogodą ducha, mogli podróżować po całym świecie. Ich twarze

nie wydawały się zmęczone jak oblicza rodaków, były zdecydowanie radośniejsze. Próbowałem znaleźć dla Romka Waszkiewicza usprawiedliwienie. Nie potrafiłem czuć do niego niechęci. Gdzieś w głębi duszy wybaczałem mu wybór komunistycznej kariery. Sam mieszkałem w luksusowej ponemieckiej willi, pochodziłem z prominentnej rodziny. Matka, lekarka, była dyrektorką sanatorium dziecięcego, ojciec inżynier (będąc bezpartyjny) kierował wałbrzyską koksownią, zatrudniająca sześciuset ludzi. A Romek? Cóż, mieszkał niedaleko w skromnym domku z matką, na dodatek był półsierotą. Pozostało mu solidnie się uczyć, tego komuna nie zabraniała, nie mógł sobie pozwolić na trenowanie boksu, czy jak ja zmieniać kierunków studiów. Ujrzawszy go na ekranie, doznałem rozterki. „Czyżby został komunistą”?! Coś mi tu zgrzytało. Wprawdzie poszedł z pacholkami Kremla na zgniły kompromis, ale przecież go znałem. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazał amerykańskim szpiegiem, umieszczonym wśród władz komunistycznych przez Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA). Jednak dotarło do mnie, że takie przypuszczenie to zenit absurdu.

Przypomniała mi się chyba ostatnia wizyta mieszkającego od kilku lat w Warszawie innego kolegi z dzieciństwa. Michał przed wyprawą do stolicy mieszkał w Szczawnie-Zdroju. Był synem doktora Kujawskiego, który w Powstaniu Warszawskim miał pseudonim Doktor Brom i sprawował funkcję szefa sanitarnego baonu Zośka. Z Bromem chodziliśmy na grzybobrania i podczas pieszych wędrówek do lasu fascynował nas opowieściami o powstańczych walkach. Właśnie on sprawił, że temat Powstania stał się moim pierwszym historycznym konikiem. Prawie wszystko wyczytałem o dramacie walczących w Powstaniu akowców. Wiedza o niechlubnej roli, jaką odegrała stojąca na drugim brzegu Wisły armia sowiecka, wzmogła moją antypatię do potężnego sąsiada ze wschodu. Czułem odrazę do komunistycznego systemu, który zagościł w Polsce po wymordowaniu i skazaniu na katorgę patriotów z Armii Krajowej. Doktor Brom opowiadał jak artylerzyści radzieccy, niby wspomagając walczącą Warszawę ostrzeliwaniem Niemców, „przypadkowo” przierzucali ogień na placówki powstańcze.

Syn doktora Broma był towarzyszem moich dziecięcych zabaw, po wyprawie ze Szczawna-Zdroju, kilkakrotnie do nas przyjeżdżał. Bawiliśmy się w antysowiecką partyzantkę, przywoził materiały wybuchowe wydobyte z niewypałów i chemikalia służące do produkcji ręcznych granatów. Michał zaraził mnie i brata na dobrych kilka lat piromanią.

Jednak w czasie ostatniej wizyty wprowadził nas w osłupienie i niesmak. Byliśmy po maturze i zastanawialiśmy się, jaka będzie nasza przyszłość.

– Zrozumcie – powiedział. – Powinniśmy zapisać się do partii...

– Upadłeś na głowę? – zapytał brat z miną, jakby ugryzł zgniłe jabłko.

– Posłuchajcie – rozpoczął swoje wywody syn słynnego akowca.

Tłumaczył, że aby zmienić Polskę musimy wstąpić do partii i ją niszczyć od środka. Mówił slogany, które powtarzał wiele lat później esbek, który nakłaniał mnie do współpracy. Głędził o geopolitycznych uwarunkowaniach i jedynej możliwości wpływania na rzeczywistość, jaką miałyby być współpraca z komuchami.

Więc może pasjonat boksu Romek Waszkiewicz wstąpił do partii, żeby ją osłabiać od środka? Może jest członkiem „piątej kolumny”, której zawołanym celem będzie niwelowanie moskiewskich wpływów.

Oceniając z perspektywy lat postawę Romka, doszedłem do przekonania, że wprawdzie błędne były moje mrzonki o jego wywrotowej działalności, ale nie do końca...

\* \* \*

Po raz pierwszy, po szoku doznanym ujrzeniem Waszkiewicza w telewizji, spotkałem go trzy lata później. Przeżywałem burzliwy okres. Leczyłem rany po wielkim zawodzie uczuciowym. Jeszcze nie w pełni doszedłem do siebie, bo dostałem kosza od pierwszej miłości do najpiękniejszej Wałbrzyszanki. Przez bójkę z jej powodu wyleciałem z hukiem, z wydziału architektury Politechniki Wrocławskiej. Ewusia – tak nazywała się wałbrzyska piękność – miała w sobie tyle seksapilu, że niejeden przystojniak, uwodziciel, cinkciarz, a nawet sopocki sutener, na jej widok doznał zawrotu głowy. Żeby ją uwieść, zjeżdżali do Wałbrzycha najbardziej znani donżuani z całej Polski. Uganiał się za nią jakiś ważniak z agencji modelek. Odbił mi ją także kolega z dzieciństwa i wczesnej młodości. Już o nim wspominałem, to był Jarek Menowski, który po skróceniu mu wyroku z siedemnastu lat do pięciu opuścił zakład karny. W eksperymentalnym więzieniu wyprzystojniał i wyglądał jak filmowy amant.

W dniach przed spotkaniem z Romkiem Waszkiewiczem wylizywałem się ze stanu, który psychiatra określiłby symptomami psychicznej depresji. Powoli odzyskiwałem dobre samopoczucie, nawet udało mi się nawiązać romans z piękną blond Warszawianką. Pokrzepiły mnie pierwsze napisane eseje, uwierzyłem, że zostanę poczytnym pisarzem. Rękawice bokserskie zamieniłem na tenisową raketę. Intensywnie trenowałem, nabierając coraz lepszej kondycji.

Spotkaliśmy się z Romkiem przypadkowo przy wejściu do hotelu Harenda, koło pomnika Kopernika na Krakowskim Przedmieściu.

– Widziałem cię w telewizji – powiedziałem po serdecznym przywitaniu.

Usiedliśmy w przyhotelowej kawiarni i opowiadałem mu o dawnych znajomych. Uruchomiłem darowaną mi chyba od Boga smykałkę do gawędziarstwa, która w tym czasie przekonała mnie, że mam predyspozycje, by pisać poczytne powieści. Waszkiewicz słuchał, przyglądając mi się uważnie i obdarzył komplementem dodającym skrzydeł.

– Wiesz – zawiesił na moment głos i oświadczył tonem pełnym szacunku – ciekawie opowiadasz, bardzo rozwinąłeś osobowość.

Miałem ochotę go uściskać. Jego słowa odczytałem jako pozytywną ocenę posiadanego talentu, który pragnąłem ziścić w pisarstwie. Komplement z ust Romka zabrzmiał prawie tak, jakby legendarny trener bokserski Feliks Stamm zapewnił mnie, że dzięki pięściarskiej smykałce jestem faworytem do olimpijskiego złota. Urosłem we własnych oczach. Te słowa Waszkiewicza były mi potrzebne.

Parę tygodni wcześniej odbyłem rozmowę z ojcem, który zachwiał moją wiarą w pisarską przyszłość.

– Radzę ci, wrócić na politechnikę. W pisarstwie nie masz żadnych szans – zagrzmiał. – Chyba że? – Proszę bardzo, możesz zacząć pisać o Leninie – dodał z nutą sarkazmu.

Wypowiedź ojca, który jednak był dla mnie autorytetem, wlała we mnie jad niepewności.

Teraz jednak, siedząc przed patrzącym na mnie z sympatią Romkiem, zapragnąłem mu się zwierzyć z literackich planów. Byłem prawie pewien, że uznałby je za słuszne. Jednak on się spieszył na uniwersytet, pisał jakąś naukową rozprawę, ja na spotkanie ze wspomnianą blondynką. Rozstaliśmy się po kilkunastu minutach.

## **Rozdział 2. Pierwszy etap filmowej kariery**

Od spotkania w hotelu Harenda – jak obliczyłem – upłynęło piętnaście lat. W minionym czasie, przetykanym życiowymi perturbacjami – ba (!) – nawet mogącymi mnie zawieść do kryminału – nie udało mi się zdobyć uznania na niwie literackiej.

Chociaż? Niedługo przed kolejnym spotkaniem z Romkiem jedno z moich opowiadań, wydane w miesięczniku Nowy Wyraz zostało uznane za bardzo dobre.

Skoro wspominał o pisarstwie, wypada się przyznać, że znawcy literatury i redaktorzy surowo oceniali moje pierwsze wycieczki. Najbardziej przygnębiła mnie opinia laureata nagrody Nobla Czesława Miłosza.

*Daj pan sobie spokój z pisarstwem, to co pan pisze, to nieporadne knoty* – odpisał na przesyłkę do USA zawierającą mój list z kilkoma opowiadaniem.

Słowa te zachwiały mną mocniej, od spadających na głowę sierpowych, haków i prostych, jakimi przed laty zasypał mnie Jarek Menowski. Tym bardziej że liczyłem na pozytywną ocenę uznanego autorytetu.

Pomocną dłoń wyciągnęła cioteczna siostra, ex żona słynnego aktora Tadeusza Łomnickiego. Była dziennikarką, piszącą do tygodników Film i Ekran. Chyba nie oceniała tak krytycznie moich prób pisarskich. Chcąc jakoś pomóc, załatwiła mi pracę w ekipie swojego kolegi, reżysera Krzysztofa Zanussiego. Po pewnym czasie zostałem jego osobistym tenisowym trenerem. Zacząłem próbować pisać filmowe scenariusze. Zarabiałem, pracując z innymi znanymi polskimi reżyserami jako ich asystent. Dorabiałem też jako „bramkarz”, czyli ochroniarz w młodzieżowych dyskotekach, także udzielałem tenisowych lekcji znanym aktorom i świetnej pisarce Basi Wachowicz.

\* \* \*

Wypadało spróbować sił w filmie, zresztą kinematografia zawsze mnie pociągała. Żeby odsłonić trudy minionego piętnastolecia, zanim ponownie spotkałem Romka, opowiem o realizacji pierwszego filmu i o mojej głównej aktorce. Nie ja, a dziewczyna – grająca w moim filmie – zrobiła karierę super modelki. Jestem przekonany, że właśnie nie aktorką, a właśnie modelką pragnęła zostać Monika Jabłońska<sup>2</sup>, o której będzie później.

Mieszkałem na „waleta” w akademiku na ulicy Kopińskiej, kiedy zobaczyłem na tablicy ogłoszeniowej plakacik przykuwający moją uwagę. Studencki klub filmowy



Limes ogłaszał zapisy na kurs reżysersko operatorski. Zapisalem się bez wahania. Wiedzę o filmowym rzemiośle przekazywali nam studenci z łódzkiej filmówki. Zanim dostali się do szkoły filmowej, realizowali pierwsze filmy właśnie w Limesie. Musieli czuć sentyment do macierzystego klubu, skoro bez wynagrodzenia zgodzili się edukować nowy narybek filmowców. To byli bardzo sympatyczni faceci, w klarowny sposób wykładali nam zagadnienia, zarówno związane z tajnikami tworzenia scenariuszy, jak i technikami używania kamer oraz ich budową. Miałem już za sobą staż na planach filmowych, więc jak gąbka chłonałem wykładaną na kursie wiedzę. Dowiadywałem się o rodzajach i czułościach filmowych taśm, o sprzęcie oświetleniowym, o montażu, ciekawiło mnie wszystko. Wyświetlano nam nagrodzone amatorskie filmy i studenckie etiudy ze szkoły filmowej. Ćwiczyliśmy ustawienia kamer i pozorowaliśmy filmowanie ujęć. Nauka była nieporównywalnie bardziej wciągająca niż matematyka wyższa, metaloznawstwo czy mechanika budowli, przedmioty, z powodu których wypruwałem flaki na polibudzie. Byłem coraz to bardziej przekonany, że wreszcie znalazłem się we właściwym miejscu.

Po czterech miesiącach, na zakończenie kursu, nasi wykładowcy zorganizowali konkurs na scenariusz. Na moją prośbę przewodniczący studenckiego klubu Mospan (tam na dyskotekach przeciwdziałalem chuligańskiej przemocy), odstąpił mi gabinet z potężną, rozklekotaną maszyną do pisania Mercedes. Przyszło mi do głowy, że w czasie okupacji niemieckiej spisywano na niej zeznania złamanych gestapowskimi torturami Polaków. Po wojnie mógł w klawisze tej maszyny walić jednym palcem półanalfabeta z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, starając się spisywać bełkot pokrwawionego i z powybijanymi zębami akowca, nad którym z drewnianą pałką stał rusek z NKWD.

Zrobiłem sobie duży kubek kawy po turecku i przez pół nocy rozmyślałem, o czym mam pisać. Wreszcie przypomniałem sobie, jak kiedyś snułem przed koleśkami opowieść o pogrzebie babci, doprowadziłem ich do wybuchów szyderczego śmiechu. Zacząłem przelewać tę tragifarsę na papier. Kiedy podniosłem się znad Mercedes, wstawał świt, zza okna dobiegało poranne świergotanie ptaków. „Scenariusz” zawarłem na dwóch kartkach A4.

W czasie jego odczytywania, przed blisko pięćdziesięcioosobowym audytorium, zacząłem się zacinać. Zrobiło mi się gorąco, byłem spięty, tekst był pokreślony, zawierał podorabiane długopisem, trudne do rozczytania dopiski. Czułem, że zaczynam się poćić. Zawstydzony odłożyłem kartki.

– To ja wam to opowiem – wyrzuciłem z siebie, rozglądając się po twarzach uczestników konkursu.

Niektórzy odetchnęli z ulgą, pomyśleli zapewne, że nic sensownego nie wykrztuszę i odpadnę jako ich konkurent. Na szczęście, nie od parady posiadałem, chyba darowane od Wszechmocnego, umiejętności gawędziarskie. Za chwilę nadrabiając nie najlepsze zapiski mimiką twarzy i gestami, doprowadziłem salę nabitą kursantami oraz jurorami do wybuchów śmiechu, kiedy kończyłem opowieść, rechotali wszyscy.

Rozdeptałem na papkę konkurentów zdolnych jedynie do wyartykułowania miałkich wypocin. Czytali je wprawdzie potoczyście, ale doprowadzali słuchaczy do ziewania i zdaje się, gdzieś z tyłu dobiegało chrapanie. Wygrałem konkurs i jako jedynemu spośród prawie pół setki kursantów przydzielono siedemset metrów taśmy filmowej OR-WO (made in DDR). Nasi wykładowcy z łódzkiej PWSTiF złożyli mi gratulacje, gratulowali też koledzy z kursu. Ciesząc się ze zwycięstwa, nie zatruwałem sobie głowy praktycznymi możliwościami zrobienia filmu. Kiedy zaczęliśmy opuszczać salę wykładową, podszedł do mnie wysoki chłopak i nieśmiało zapytał, czy mam kogoś, kto zostałby kamerzystą. Oczywiście nie miałem, byłem zaskoczony, od razu się zgodziłem, żeby został moim operatorem.

Umówiłem się z nim na następny dzień w centrum, w kawiarni Gong. Myśląc o realizacji filmu, o pogrzebie zaczęła mi puchnąć głowa. Skąd wziąć plejadę podstarzałych aktorów? Czy zagra u mnie Irena Kwiatkowska, jakie mam szanse zatrudnić Tadeusza Fijewskiego? Kto nadawałby się jeszcze? Najlepiej jakby mojego ojca zagrał Dziewoński... Jednak to zawodowi aktorzy. Kto im wypłaci gażę? Czy z wytwórni na Chełmskiej pożyczą mi szyny i wózek do prowadzenia kamery? A profesjonalne oświetlenie?

Realizacja zdjęć w amatorskich warunkach zakrawała na eskapadę z motyką na księżyc! – zrozumiałem. Scenariusz konkursowy nadaje się do kosza! Zacząłem wpadać w panikę. Amatorskie filmiki, które nam pokazywano, także etiudy ze szkoły filmowej, bazowały na prostych scenkach, ich długość przeważnie nie przekraczała paru minut, mój pomysł zapowiadał tworzenie przynajmniej pół godzinnego filmu. W oglądanych na kursie filmach grali studenci, czasem studentki z wydziału aktorskiego łódzkiej szkoły filmowej.

Pozostało mi napisać nowy scenariusz...

\* \* \*

Zwycięstwo w konkursie musiało mnie podbudować skoro kolejna nocna nasiadówka przy maszynie mercedes i fajansowym kubku z kawą po turecku, zaowocowała nowym szkicem scenariusza. Wydumałem kilkunastominutowy film, jakiego jeszcze nie widziałem i chyba podobnego nikt nie oglądał. Przynajmniej takie miałem przekonanie. Kluczowym założeniem dramaturgii było zaskakiwanie obiektywem przypadkowo spotykanych na ulicach, głównie ładnych młodych kobiet. Jednak nie koniecznie, też zwracających czymś uwagę mężczyzn i osób starszych. Należało podejść do nich z terkością kamerą. Istotne miałyby być reakcje na filmującą ich kamerę. Ujęcia napastowanych przez operatora ludzi postanowiłem przetykać banalną, choć burzliwą historią romansu, atrakcyjnej dziewczyny z chłopakiem o walorach amanta, mogącego być magnesem dla płci pięknej. Opowiadając o parze wyróżniającej się urodą napisałem tak, żeby zadania aktorskie były banalne, aby mógł je wykonać prawie każdy, nie koniecznie mający pojęcie o fachu aktorskim.

Mój operator Andrzej Joński z uwagą wsłuchiwał się w czytany przeze mnie szkic scenariusza, drapał się w głowę, robił, wyrażające podejrzliwość, głupawe miny. Kiedy dokończyłem czytanie, oświadczył, że to jakiś poroniony pomysł. Znowu, jak w czasie odczytywania konkursowego odłożyłem maszynopis... Ponownie zacząłem stroić miny, imitując potencjalne reakcje zaskoczonych widokiem kamery kobiet i dziewcząt. Opowiedziałem o banalnych zadaniach aktorskich pary głównych bohaterów, o chuliganach uczestniczących w dyskotecie klubu Mospan. Jak wyraziste i wdzięczne do filmowania są ich twarze i o pomysł, by poczęstować ich na podwórku przed dyskoteką kilkoma butelkami taniego wina, pod warunkiem, że przed kamerą wypiją alkohol z gwinta razem z wytypowanym głównym aktorem. Zabierając się do picia, mieli zademonstrować rytuał grypsery, polegający na chluśnięciu winem, na ziemię „*za tych, co garują*”. Zasugerowałem operatorowi Jońskiemu pomysł nakręcenia sceny, przedstawiającej pijanego głównego bohatera, bijącego swoją piękną sympatię na parkiecie dyskoteki.

Po raz drugi po jednodniowej przerwie zadziałała magia moich gawędziarskich uzdolnień.

– Przespałeś się z muzą? – zapytał, po wysłuchaniu mojego monologu. – Zaczynam rozumieć twój pomysł, podoba mi się coraz bardziej.

Do obsadzenia głównej roli potrzebowaliśmy wystrzałowej dziewczyny. Przyszło mi do głowy, że najlepsza byłaby taka w typie Ewusi, tej, która zostawiła mnie dla pięknego kryminalisty Menowskiego.

Przez zdjęcia próbne, robione turystyczną kamerą, przewinęły się cztery ładne dziewczyny zachęcane do odegrania głównych ról. Ich wykonania banalnych zadań aktorskich oceniliśmy jako beznadziejne. Po dwóch tygodniach zaczęliśmy wątpić w możliwość znalezienia odpowiedniej aktorki.

1Rozgłoszenia antykomunistyczna sponsorowana przez CIA. (Wyjaśnienie dla młodych czytelników nie znających realiów PRL).

2Nie podałem prawdziwego nazwiska.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Kazjuno, dodano 24.05.2019 00:35

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).